

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

10

(Ciąg dalszy).

Przerażony i wzruszony do głębi siedział proboszcz, nie zdolny słowa wymówić.

— Hrabia zmusił mnie potem do tego, że przysięgłem mu milczenie. Wprawdzie przysięgę tę sły-
szął jeno sam Bóg, ale wyrzyła mi się ona w du-
szy palącym znakiem, dręczyła mnie zawsze, ile-
kroć dusza moja chciała się zwrócić na drogę po-
kuty.

Nieszczęśliwy ukrył twarz w dłoniach, a głę-
bokie łkanie wstrząsało całym jego ciałem. Po
chwili dopiero zaczął mówić drżącym od łez gło-
sem:

— Przeszedłem całe piekło mak i nieraz zda-
wało mi się, kiedym w zabawach i przyjemnościach
szukał nkojenia i zapomnienia, że nagle wołał mnie
jakiś głos, który mi się zdawał być głosem rządcy
Bernere, ściętego na szafocie.

— To był głos twego sumienia, wzywający cię
do pokuty — wtrącił poważnie kapłan.

— Tak jest; moje to sumienie nie dało mi spo-
koju ani we dnie ani w nocy; sumienie to wype-
dzało mnie wreszcie na to odludzie.

— I znalazłeś tu upragniony spokój?

— Gdzie tam! Przyniosłem przecie ze sobą
serce, obciążone winą, i ażeby uciec przed wy-
rzutami sumienia, uciekłem się wreszcie do stryczka.

— Dojrzały owoc zwątpienia! — zauważył
kapłan.

Nieszczęśliwy opowiedział teraz, jak się powie-
sił i w jaki sposób został uratowany.

— Tej więc kobiecie — kończył — mam do
zawdzięczenia, że nie poszedłem do piekła i ona
jest godną nagrody, jaką jej przeznaczyłem.

Oświadczył teraz duchownemu, że powziął sta-
nowczy zamiar poślubienia pani Renault, ażeby
w ten sposób uczynić ją swoją spadkobierczynią.

— A ja mam dopełnić aktu ślubnego? — za-
pytał ksiądz.

— Tak jest. Chciałem księdza proboszcza o to
prosić.

Proboszcz zamyślił się chwilę.

— Według prawa nic nie stoi na przeszkod-
zie — rzekł wreszcie — bo ustawa powiada, że
w pewnych szczególnych wypadkach, jak naprzy-
kład tutaj, na łożu śmierci, narzeczeni zwolnieni
są od wszelkich wymagań i formalności, jakimby
musieli zadość uczynić.

— O tem wiem — zauważył Hohlfeld.

— Muszę panu jednakże zwrócić uwagę, że
małżeństwo pana z panią Renault po pańskiej
śmierci władze dopiero wtedy uznają za ważne,
jeżeli później będzie im można dostarczyć wszyst-
kich świadectw i papierów.

Chory zwrócił zakłopotany wzrok na duchow-
nego.

— Wobec tego nie uznanoby małżeństwa, gdyby
jedna z biorących ślub osób miała fałszywe na-
zwisko?

— Naturalnie! Metryki chrztu przedewszyst-
kiem muszą być prawdziwe.

— Muszę więc księdzu proboszczowi wyznać,
że swego czasu zmieniłem nazwisko. Hohlfeld —
to mój pseudonim.

— Żeś pan tak zrobił, to rzecz zupełnie zro-
zumiała; sądzę jednak, że przecie możesz pan te-
raz wymienić prawdziwe nazwisko.

— Tak, ale jeśli ja zmienię nazwisko, to fakt
ten może w mej narzeczonej obudzić podejrzenie...

— Które łatwo usunąć — przerwał mu ksiądz. —
Ma pan może tutaj papiery, stwierdzające pańskie
prawdziwe nazwisko?

Chory wskazał ręką półkę, przymocowaną do
jednej z belek sufitu.

— Tam jest skrzyneczka, w której je prze-
chowuję.

Ksiądz zdjął skrzyneczkę i wyciągnął papiery.

— Pan więc zowie się Karol Pommon — rzekł,
przeglądając papiery. — Możesz pan zawrzeć ślub,
ale tylko pod prawdziwym nazwiskiem.

— Jeśli inaczej być nie może, to niech tak
będzie.

— I jeszcze jedno: przed ślubem musisz pan
zrobić pewnego rodzaju testament, ostatnią swoją
wolę, z wyraźnym zaznaczeniem, że po pańskiej
śmierci spadkobierczynią całego majątku pańskiego
będzie pańska żona.

— Tego właśnie pragnę.

— W takim razie testament napiszę sam, a pan
się na nim podpisze.

— A czy taki testament, bez notaryusza, bę-
dzie wobec prawa ważny?

— W każdym razie. Ostatnia wola, byle jeno
jeszcze podczas przytomności chorego i w obecno-
ści jakiego świadka zrobiona, jest ważną wobec
ustawy.

Proboszcz udał się do przyległej izdebki, przy-
niósł papier, atrament i pióro i w przeciagu kwa-
dransa napisał ostatnie rozporządzenie, testament
Karola Pommon'a; pozostawił tylko miejsce na wpi-
sanie nazwiska żony, gdyż musiał podać jej na-
zwisko rodzinne. Następnie zawołał panią Bernere
i oznajmił jej zamiar chorego.

O ile opowiadanie chorego z początku ogro-
mnie ją wzburzyło, tak, że sądziła, iż on jest
sprawcą nieszczęścia jej samej i jej męża, o tyle
uspokoiła się prędko, gdy usłyszała jego pełne na-
zwisko.

Bogaty kapitalista, Fryderyk Hohlfeld, nie mógł
być przecie tym nędznikiem, który przez morder-
stwo i krzywoprzysięstwo ściągnął na siebie kła-
twę nieba i z pewnością już dawno gdzie marnie
zginął.

To też weszła do pokoju już zupełnie spokojna.
Chory, z powodu przejść w ostatnich godzinach
ogromnie osłabiony, leżał apatycznie na łóżku, pod-
czas gdy proboszcz wraz z panią Bernere uzupeł-
niali testament. Nie słyszał nawet, jak jego przy-
szła żona wymieniła swe nazwisko po mężu, gdy
jej ksiądz powiedział, że inaczej ślubu zawrzeć nie
może.

Wreszcie, po załatwieniu formalności, nadeszła
najważniejsza chwila, ślub.

Chory, pokrzepiony orzeźwiającym napojem,
usiadł na łóżku, a proboszcz ozwał się doń, że na-
deszła chwila jego ślubu z kobietą, której wpraw-
dzie może nie kocha, ale którą sobie sam z wła-
snej woli wybrał na małżonkę. Potem połączył ręce
obojga i przemówił w krótkich ale pełnych siły
słowach, wreszcie rozpoczął stereotypowe:

— Karolu Pommon, masz wolną...

Ale nie mógł mówić dalej. Kobieta z głośnym
krzykiem odskoczyła od łóżka, padła na ławkę,
a głucho łkanie wstrząsnęło jej piersi.

Więc to jednak był on, ten demon złego,
którego obraz stał jej ciągle przed oczyma, gdy
siedziała w kryminale; więc to jednak był on, Ka-
rol Pommon, nędznik bez sumienia, który przez
fałszywą przysięgę męża jej, tak gorąco przez nią
ukochanego, oddał w ręce kata, a ją samą wtrą-
cił niewinnie do więzienia.

I tego człowieka ona odcięła od stryczka, ura-
towała od mak piekielnych, tego, który jej znisz-
czył całe szczęście i życie piekłem uczynił.

W mózgu jej przesuwwały się z błyskawiczną
szybkością najdziksze myśli. Była bliską obłądu.

Proboszcz, z początku przerażony, podszedł
wreszcie ku siedzącej i położywszy jej rękę na ra-
mieniu, rzekł:

— Na Boga, pani Bernere...

— Pani Bernere! — krzyknął chory przeraźli-
wym głosem. Głos ten obudził ją z odrętwienia.
Wstała szybko i podeszła do łóżka chorego. Wpa-
trzyła się weń wzrokiem, który, zdało się, dotarł
do najtajniejszych głębin jego duszy.

— Tak, ja jestem Teresa Bernere! — zawo-
łała drżącym od bólu głosem. — Popatrz na mnie,
nędzniku! Nie poznajesz-że mnie? Ja to jestem,
którąś, nieszczęsny, wydarł mężowi i dzieciom.

Zdawało się, że chce mówić dalej, ale z ust
jej wychodziły jeno niezrozumiałe dźwięki.

Potem nastąpiła długa chwila ciszy.

Nagle chory wyciągnął ku stojącej przy nim
kobiecie obie ręce i z ust jego wyszły słowa:

— Przebac mi, o, przebac!

— Bóg ci może przebaczyć — ale ja — nie!

Odwrociła się odeń, kierując swe kroki ku wyj-
ściu. Ale proboszcz zastąpił jej drogę, mówiąc:

— Czy nie zechce mi pani poświęcić chwili
czasu? Chciałbym z panią parę słów zamienić.

Stała, a ksiądz mówił dalej:

— Człowiek ten, który leży już na łożu śmier-
telnym, wyrządził pani straszną krzywdę. Przy-
znaję. Ale też jako duchowny muszę pani powie-
dzieć, że on miał prawo liczyć na to, iż mu pani
przebaczysz.

— Ksiądz proboszcz nie zna mojego nieszczę-
ścia — odparła — i dlatego nie wie, co ja prze-
żyć wycierpieć musiałam.

Proboszcz wziął ją za rękę.

— Nie znam twoich bólów, dobra kobieto, ale
znam drogę krzyżową tego, który jest naszym od-
kupicielem i zbawcą — rzekł drżącym od wzru-
szenia głosem. — A on, Bóg, którego całe życie

i działalność była jedynie czynieniem dobrego i ła-
ską, on, na drzewie krzyża przybity, nie tylko,
że przebaczył swoim mordercom, ale w ostatniej
godzinie modlił się za nimi do Ojca, wołając: „Pa-
nie, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią“. Czyż
człowiek, który przecie jest grzesznikiem, nie może,
nie powinien pójść za tym boskim przykładem
i przebaczyć tym, którzy mu krzywdę uczynili?
Wszak codzień mówimy w pacierzu: „I odpuszc
nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym
winowajcom“.

Słowa te nie przeszły bez wrażenia. Pani Ber-
nere powróciła ku choremu, ale widać było, ile ją
to zaparcia się siebie kosztowało. Ujęła prawicę
chorego w obie ręce i rzekła wśród łez:

— Przebaczam! Oby ci Bóg przebaczył!

Odwrociła się i szybkim krokiem wyszła z po-
koju.

XIII.

W ręku sprawiedliwości.

Hrabia Jan Mironeau powrócił z Paryża. Nie-
obecności jego przez kilka dni w pałacu nie zau-
ważono i tylko hrabianka Wilma żałowała, że go
nie było przy niej.

Hrabia Jan był bowiem pięknym, dorodnym,
w całym tego słowa znaczeniu przystojnym mę-
czyzną; nie dziwnego, że młoda, ośmastoletnia hra-
bianka pokochała go całą siłą pierwszej dziewczęcej
miłości.

Faktem było, że miłość jej nie była ani razu
jeszcze wystawioną na próbę; nie znała ani za-
drości, ani tego uczucia osamotnienia, jakie musi
wywołać w młodym sercu dziewczyny strata, choćby
na chwilę, swojego ukochanego. Wilma przyzwy-
czaiła się od dziecka widzieć w kuzynie swoim
towarzysza zabaw i najlepszego przyjaciela. To
uczucie siostrzanej miłości rozwijało się z latami
i przemieniło wkrótce w miłość inną, miłość ko-
biety dla mężczyzny. Hrabia Jan, którego przed-
tem kochała jak brata, był teraz dla jej dziewi-
czego serca jako jej przyszły mąż stokroć droż-
szy. Nie myślała zaś ani na chwilę, aby jej jakaś
inna kobieta mogła wejść w drogę. Była tego tak
pewna, że nie zauważyła nawet, iż zachowanie się
Jana wobec niej znacznie od pewnego czasu ozię-
bło. Nosił on wtedy mundur oficera, sądziła więc,
że odpowiednio do swego stanu, musi być również
poważniejszym. Nie przypuszczała nawet, że Jan
mógł pokochać inną, ba, że już może nawet o niej
nie myśli. To też teraz, w czasie jego kilkodnio-
wej nieobecności poznała dopiero, jak on bardzo
jest dla niej drogi. Zaledwie więc na dziedzińcu
rozległ się turkot powozu, wybiegła naprzeciw
niemu, a on ją czule przycisnął do piersi.

— Cóż robi ojciec? — zapytał Jan jeszcze na
schodach.

— Wyjechał. Opuścił nas prawie zaraz po
tobie.

— Dokądże wyjechał?

— Prawdopodobnie do Paryża — odrzekła, do-
dając z uśmiechem: — Mówił, iż musi odszukać
uciekiniów.

— Uciekiniów, powiadasz?

— Tak; bo i panna Laura gdzieś znikła w drugą
noc po twoim odjeździe.

— Przypuszczam, że wkrótce tu znowu po-
wróci — odparł Jan z uśmiechem.

Wilma potrząsała głową z niechęcią.

— Kochałam ją bardzo, ale teraz jużbym jej
nie potrafiła kochać.

— Tak? Dlaczegoż to?

— Uciekając z pałacu dała dowód, że nie jest
dobrze wychowana.

Hrabia udał się teraz do swoich apartamentów.
Zamknął się w swoim gabinecie i postanowił już
nie wychodzić tego dnia; kolację kazał sobie przy-
nieść do siebie. Cały czas spędził przy biurku, pi-
sząc i rachując. Czasem rzucał pióro, podchodził
do okna i patrzył w siną, mgłami wieczoru osło-
nioną dal.

— Co to za uroczy zakątek, w którym nasi
przodkowie przez tyle wieków żyli szczęśliwi.
A ja, ostatni z rodu Mironeau, muszę stąd odejść
jeno z kijem w ręku, aby tu nigdy nie wrócić.

Ciężkie, głębokie westchnienie wydarło mu się
z piersi.

Tak minęło parę godzin. Koło jedenastej upo-
rządkował papiery i miał się już położyć spać, gdy
wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał.

— Ja, jaśnie panie — Jan.

Otworzył drzwi. Do pokoju wszedł służący jego
ojca.